



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

DWIE CHWILE.

I.

Znowu ból jakiś, pustka, tęsknota
I w siły własne straszna niewiara,
Znów mnie przygniata, jak wszechświat stara,
Odwieczna nędza żywota...

Przewodnie gwiazdy bledną i gasną,
I niemoc duszę ogarnia cała,—
Jedno pragnienie tylko zostało:
Roztrzaskać czaszkę swą własną!

Gdyby choć na to starczyły siły...
Gdybym posłusznym mógł być swej woli,
Mógł przejść w krainę, gdzie nic nie boli,
Schronić się w cieniach mogiły!...

Lecz nie! Zostanę z pogardą w duszy
Dla ludzi, siebie, całego świata,
Konając zwolna przez całe lata...
Żaden mnie piorun nie skruszył!

Jak pies, co gryzie własną obroź,
Która mu życie zamienia w piekło,—
Szarpie ją, wyjąc, paszczką wściekłą,
Lecz jej rozszarpać nie może:

Tak ja żyć będę, bez gwiazd, bez słońca,
Chociaż mnie nędza istnienia gniecie,
Żyć, żyć bez końca na nędznym świecie
I cierpieć męki bez końca!

II.

Było mi gorzko, pusto i ciemno,
Życie ciężarem mi się zdawało,
Który przygniatał duszę mą całą,
Rozpacz tuż biegła przedemną.

Lecz nie zginałem w jej czarnej toni!
Los mnie obdarzył stróżem aniołem,
Co kruczowłósy, z promiennem czołem,
W chwilach zwątpienia mnie broni.

Jedno spojrzenie, jasne gorące,
I jeden dłoni uścisk serdeczny,—
Znów wre w mej piersi ogień przedwieczny,
Znów widzę przed sobą słońce!

Selam.

POGA WĘDKA.

W ostatniej pogawędce naszej, zaznaczywszy w krótkich wyrazach smutny fakt śmierci s. p. Zygmunta Kaczkowskiego, wspominaliśmy również, że nieboszczyk pod koniec swojego życia oddawał się spekulacyom finansowym, które mu pozwoliły dojść do wielkiej fortuny. W gotówce i majątku ruchomym, jako też nieruchomym, pozostawił po sobie pięć milionów franków, które przekazał żonie swojej, poślubionej już na łożu śmiertelnem. Ten zapis autora „Olbrachtowych rycerzy“ Niemile nas (mówię w znaczeniu ogółu) dotknął.—Co było powodem, że znakomity pisarz, człowiek, na polu lite-

rackiem olbrzymich zasług, tak się duszą i sercem oderwał od swojego społeczeństwa, że — nawet opuszczając ziemię tę na wieki, — nie przypomniał sobie o niem? — Nie zrozumienie się wzajemne było może jedynym, zresztą — z wielu innych — najważniejszym powodem tego wzajemnego oddalenia się. Kaczkowski zamieszkał w Paryżu — wiadano o tem; a przecie stolicę Francji odwiedzający ziomkowie nieboszczyka nie przekraczali progów mieszkania autora „Murdeliona.“ — Zapłatą więc było: zapomnienie za zapomnienie — jak podejrywa jeden z kronikarzy naszych, lecz tem smutniejsze byłoby podobne wet za wet, albowiem prawdziwe wielkości nie znają zemsty, stają zawsze wyżej nad usposobienie zmiennego tłumu. — Bądź co bądź jednak potwierdza się fakt, że u nas, wszyscy pieszczochowie fortuny, czy ci, którzy własnym przemysłem doszli do niej, czy ci, którym wraz z imieniem po dziadkach i pradziadkach spadła — mało dbają o interesa swojego kraju, o dzień jutrzejszy, chcąc z życia wszystko, co ono dać tylko może, wyciągnąć. Z smutkiem wyznać musimy, że poziom moralności społecznej z dniem każdym się obniża. Dziś dzienniki nawet nasze pozwalają sobie niekiedy na takie występy, o którychby przed laty — pom. ślećby może nie śmiały; wśród szpalt wysuwają się czasem na czoło rzeczy brudne, czytane bez wstrętu, przyjmowane bez drgnięcia wewnętrznego.

Jesteśmy w przededniu bardzo ciekawego wypadku.

Zmarła w r. 1894 s. p. Julia Ekielt, właścicielka Hotelu Krakowskiego przy ulicy Bielańskiej, zapisała znaczne fundusze na cele ogólne, a mianowicie:

Kassie Mianowskiego 60,000 rs.

Przytułkowi dla paralityków 30,000 rs.

Takiemuż przytułkowi za rogatką Wolską 20,000 rs.

Towarzystwu św. Wincentego à Paulo 20,000 rs.

Na Przytułisko 3,000 rs.

Na dokonczenie kościoła św. Piotra i Pawła 10,000 rs.

Na założenie dwóch kass rzemieślniczych 10,000 rs.

Na kościół Przemienienia Pańskiego 1,000 rs.

Zarządowi cmentarza powązkowskiego 1,000 rs.

Kolegium ewangelickiemu 1,000 rs.

Na budowę kaplicy na Powązkach 3,000 rs.

Na schronienie nauczycielek 3,000 rs.

Ogółem — na cele dobroczynne 165,000 rs. dla osób zaś prywatnych przeszło 100,000 rs. Cały ten kapitał, z którego wypłynęły zapisy, złożony jest w wartości pozostawionego przez nieboszczkę Hotelu krakowskiego i folwarku Wołmontowice, który już został sprzedany za sumę rs. 19,000. Głównym więc źródłem, z którego obdarowane instytucje mają otrzymać zaspokojenie, jest Hotel krakowski oceniony przez biegłych na sumę 213,099 rs. Ponieważ zapisodawczyni przeceeniła swój majątek, obliczając jego wartość na sumę 400,900 rs. po sprzedaży więc Hotelu, za sumę oznaczoną przez rzeczoznawców, obdarowane instytucje nie mogłyby korzystać z całej pełni legatów. Sprzedaż Hotelu, za wyżej wzmiankowaną sumę (213,099 rs.) naznaczona była w miesiącu Lipcu, lecz, że do skutku nie przyszła z powodu braku licytantów — naznaczony został powtórny termin sprzedaży na dzień 14 Października. — Lecz na zasadzie pewnego artykułu prawa, na powtórnej licytacji nieruchomości może być sprzedana za cenę niższą, niż suma pierwotnego szacunku — rodzi się więc słuszną obawa, że jeśli nieruchomości zostanie kupioną, — (a spekulanci nie drzemią) — za cenę niższą niż jest rzeczywista jej wartość — legaty obniżą się bardzo, z wielką szkodą ogólnego pożytku. — Godnem więc pochwały odezwanie się „Kuryera Codziennego,” w tej sprawie; wzywa on kapitalistów naszych, by nie dopuścili do zmarnowania majątku s. p. Ekieltowej z krzywdą instytucji społecznych, tembardziej, że kupno Hotelu, znajdującego się w samym centrum miasta, na gruncie dziedzicznym przestrzeni 17,967 stop kwadratowych, skanalizowanego i opatrzonego we wszystko — nie przedstawia najmniejszego ryzyka. Hotel przynosi netto rocznie około 15,000 rubli, oprócz tego sklepy przeszło 14,000 rs. i restauracya z lokalami prywatnymi 3,000 rs. Nieruchomość obciąża pożyczka Towarzystwa kredytowego, której część nieumorzona wynosi około 38,000 rs.

Widzimy więc z danych powyższych, że — dla ochrony oznaczonej nieruchomości, na której spoczywają zapisy dobroczynne — nie potrzebną jest nawet ofiarność naszych kapitalistów; że — niejednokrotnie dokonaliby tranzakcyi, powodowani myślą tylko dobrego zabezpieczenia swojego funduszu. Dlaczegoż w tym wypadku, gdy z nabyciem Hotelu związana jest i korzyść wzmiankowanych instytucji — potrzebne są odezwy pism, zachęta i namawianie? Bogaci przemysłowcy czy ludzie dobrze urodzeni, za jakich chcą uchodzić, woła sto razy polotne piruety tancerek w Eldorado, i iune, groszem nie małym opłacane rozkosze, niż pomyśleć, choćby o takim Hotelu krakowskim, po którego sprzedaży zrealizowany fundusz ma iść na cele użyteczności publicznej. — Czy obudzą się z drzemki posiadacze listów zostawnych, ulubieńcy ślepej fortuny — zobaczymy w dniu 14 Października.

Do setki projektów, dla których grunt warszawski nadzwyczajnie jest podatny — należy i kwestya Teatru ludowego, podniesiona niegdyś przez pisma nasze, obecnie przypominiana przez pana Karola Hoffmana w „Kuryerze Codziennym.” Jakkolwiek nie wierzymy w urzeczywistnienie się tej błogosławionej myśli — kto wie jednak, czy czasem, wypowiedziana w porę, najskrajniejszych nawet pesymistów nie zawstydzi.

Ach, jak bym się pragnął zawstydzić, jakbym był dumny, gdybym tym razem niewiarę moją wprowadzono w pole!

Pan Hoffman porusza w sam czas myśl o wystawieniu Teatru ludowego. Z dniem 1 ym Stycznia 1898 r. znikną szynki i bawarje z horyzontu miasta, a kres ich istnieniu położy z dniem tym wprowadzony monopol wódeczany. Sfery decydujące dla podniesienia poziomu moralności ogólnej, zamkną te ogniska pijaństwa i rozpusty, w których lud prosty zatracił najszlachetniejsze uczucia. Klasa niższego mieszczaństwa i niewolnicy pracy, po uciążliwym

trudzie, potrzebując, jak każde żywe stworzenie, rozrywki i wypoczynku — muszą, gdzie się zgromadzać, by dać falę naturalnej wesołości. Nie mając, jak szczęśliwi od niej bracia starsi, sal koncertowych, teatrów, domów zebrań, żadnych z tych podnioslejszych rozrywek, które wykształcają uczucie i umysł — idą do szynków, gdzie przy gawędce spijają kieliszek po kieliszku, zanim z czubów nie zacznie się kurzyć; lecz — gdy za każdym kieliszkiem animusz przybywa i rozwiązywać się poczynają języki, wszczynają się kłótnie, zakończone nie rzadko dobyciem nożów. Że tak jest, tego dowodzić nie potrzeba. — Zdemoralizowanie tej niższej klasy społeczeństwa — zawsze początek swój bierze w szynku. — Lecz oto nadechodzi chwila i w znacznej bardzo części zło usunięte zostanie: Szynki znikną — ale, co w zamian potrzeba dać ludowi. — Nie prędko się zdobędziemy na sale zebrań, jakimi syci się Londyn, gdzie ludziska po pracy znajdują wytchnienie, słuchają dźwięków muzyki, biorą do rąk książki i dzienniki z miejscowej biblioteki — o takim Eldorado nie marzyć jeszcze; lecz myśl tworzenia Teatru ludowego, w bardzo skromnych rozmiarach, niewyszukanej budowy — nie jest tak trudną do wykonania. A jakież doniosły pożytek padłby w udziale tej ludności biednej! Zrazu ten to ten, przez ciekawość prostą, zaszedłby do takiego teatrzyku; powoli, w pomoc przyzwyczajanie by przyszło i ani byśmy się spostrzegli, jak ta rozrywka szlachetna, stała już by się koniecznością, dzisiaj, pijącej tylko, ludności. Nie zbrakłoby aktorów, boć tu o Królikowskich ani Żółkowskich nie chodzi, sztuk mamy trochę osnutych na tematach ludowych, pojawili by się zresztą pisarze, którzy wdzięczny trud uczucia tej zapomnianej klasy, z ochotą na swoje barki by wzięli. — Radziłobyśmy niezmiernie byli, by podana myśl przez pana Karola Hoffmana nie zmarniała, jak wiele innych, by ją do serca przyjęli ludzie dobrej woli, a może i filantrop by się znalazł i wsparł ją funduszem pewnym. Żelazo kuje się póki gorące, kujmy tę myśl, — a może wytrwałością pokażemy, że kropli ulegnie skała.

Pisząc nieraz o rozroście Warszawy, zaznaczaliśmy niejednokrotnie, a zaznaczaliśmy ze smutkiem, że znikają ogrody, padają drzewa pod cieciami toporów, by ustąpić miejsca kamienicom o wąskich dziedzińcach. Gospodarkę podobną zwie słusnie „Prawda” rabunkową. Zniknął już ogród „Foksalem” zwany, wkrótce podobnemu losowi ma uleść wspaniały park Kronenbergów przy ulicy Marszałkowskiej i Hożej. — Dawno już o tem chodzą niepewne wieści. — Uprzedzając chwilę zamienienia się ich w czyn, ze szpalt tych rzuciliśmy myśl nieśmiałą, czy nieudałoby się ogrodu zachować dla publiczności? W ostatnim numerze „Prawda” rzuca to samo pytanie: — „Czy by nie było na to rady? Czy by np. magistrat, bądź drogą dzierżawy, bądź za pomocą innej jakiej kombinacyi, nie mógł uratować tej sporej połaci drzew?”

Prawdziwą ozdobą Warszawy byłby ten ogród, położony w punkcie, oddalonym od istniejących już parków wiorstową prawie przestrzenią, bo nawet nadzieja mającego być w przyszłości ogrodu na placu dzisiejszej wystawy higienicznej, jak dym się ulotnia. Kwestya Szpitala Dzieciątka Jezus, pokutująca, jak duch, który ziemskiej nie odbył pokuty, zdaje się, że ostatecznie roztrzygnięta została na korzyść właśnie owego placu wystawy, cała więc część miasta, od rogu Hożej i Marszałkowskiej do pola mokotowskiego, pozbawioną zostaje zieleni. Och, gdybym mógł być dobrym duchem ojców naszego miasta, szeptał bym im wciąż: „Pamiętajcie o ogrodzie Kronenberga, pamiętajcie, pamiętajcie.”

Korzystając... z ciągłych deszczów, (a chciałem powiedzieć: z pogody) komitet wystawy higienicznej zaprosił niedzieli zaprosił całą Warszawę na deszczówkę... Ach — przepraszam!... „Wrześniówkę” miałem powiedzieć, której celem było przyjąć z pomocą Instytucji, zajmującej się poprawą moralnie upadłej dziatwy. Mimo deszczu zabawa się odbyła przy uczestnictwie 2,000 przeszło osób. Kosze szczęścia były w ruchu, tłoczono się, duszono, jedna babula wrzasnęła nawet: „Litości!” nie wiem, czy dlatego, że ją ścisnęto niemiłosiernie, czy dlatego, że fala kłębiącego ludku odrzuciła ją wciąż od pudła — fortuny. Zachęcenie udaniem się zabawy inicjatorowie, zaprojektowali już trzydnio-

wkę, oczywiście z kosztami szczęścia. Ale tym razem publiczność już nie dopisała.

Dlaczego? może deszcz lub chłody były powodem tego zawodu?

Zdaje mi się, że nie!... Deszczyk kropił wprawdzie, ale był malusieńki, milusieńki powiem nawet; chłódów nie było wcale, a fortuna uśmiechała się na placu wystawy. — Lecz oto właśnie ta uwodzicielka popsuła trochę ludziom humor. — Czy tak jest napewno, nie wiem — ale zasłyszanych parę rozmów charakterystycznych zrodziło we mnie to podejrzenie.

— Będziesz na Wrześniówce?

— Byłem już.

— Nie — nie na tej, co była, lecz na tej, co będzie.

— Dziękuję!

— Dlaczego?

— Nie chcę.

— Obiecują znów kosze szczęścia — może co wygrasz?

— Tak — pudełko czekoladek, podczas gdy dzienniki zapewniały, że można stać się posiadaczem stutelek piwa, albo beczki maślaczu. Gdybym choć flaszkę araku wygrał i to nie! Polując na piwo i maślacz wydałem okrągłych rubli srebrem sześć — iii...

Tu zrobiony był ruch palcami, mówiący o smutnym zawodzie.

Lecz na Dynasach uczczono „Babie — lato” jazdą na rowerach: kołowały piękne sportmeni, kołowali poprzebierani sportsmeni, a o zroku żądni dalszej rozrywki udali się do sali, w której pokazywano obrazy niknące, zabawne jak mówi „Kur. codz.” ale nie wszystkie zasługujące na uznanie. „Karykaturowanie znanych osobistości warszawskich, jak np. popularnego redaktora, znakomitego skrzypka, według słów objaśnienia: „najdramatyczniejszej z dramatycznych” — ośmieszanie owych osób w obec szerszej publiczności, o ile się nieprosiło ich o upoważnienie — jest arcyniestosownem, a pewni jesteśmy, że osoby te upoważnienia nie udzieliły, nie są bowiem w tej chwili obecne w Warszawie.”

Bardzo słusne zwrócenie uwagi na niewłaściwość obranego przedmiotu do zabawy. Nie każdy by się zgodził być celem żartów i pośmiewiskiem tłumy.

„Prześcieńcie dziatki, bo się źle bawicie...”

Cóż wam jeszcze do powiedzenia zostało?

— A wyścigi?

Prawda! — ale nie byłem na nich.

— A widziałeś mikrospijną osobkę w Panoptieum Macha, księżniczkę Topaz?

— Nie byłem ciekawy, jak dotąd.

— Cóż cię interesuje, na Bogal...

— Masz rację! — Za obrębem wyścigów, księżniczki i Eldorada nie, nie zajmującego już niemal

??

LUBRANCE

POWIEŚĆ

przez

Z N I C Z A.

Hrabina Zeneida X. i jej siostrzenica panna Jądwig D. zajmowały jeden z obszerniejszych apartamentów hotelu Europejskiego w Warszawie. Hrabina Zeneida nie była w kraju przeszło lat dwadzieścia i możeby druga dwudziestka nieopatrzenie nad głową jej się przesunęła i jejby nawet przez myśl nie przeszło opuścić swoich odległych ulubionych zakątków, lecz majątkowe interesa powołały ją do kraju.

Była ona jednym z tych ptaków wędrownych, które na każdy sezon gdzieś indziej gniazda sobie ścielą, w każdym z nich szukają innych wrażeń, innej nowości i niespodzianki, zapomnienia dnia wczorajszego, który już przeminął, oddał co miał w zapasie, więc nie zajmuje i nie bawi; które tylko na jutro układają mozaikę rozrywek, bo pojutrze, to już zdaleka przyszłość dla myśli tak nietrwałej; fantastycznej i kruchej jak delikatna tkanka skrzydeł jednodniowego motyla. Terazniejszość i najbliższa przyszłość to już dosyć by umysł było czym wypełnić; na co czas w biegu wyprzedzać, i tak każde pojutrze jutrem a później dniem dzisiejszym stać się musi.

Owdowiała w trzydziestym roku życia, od tego czasu stała się miejscem jej zimowego pobytu była Florencia. Posiadała tam pałacyk, choć niewielki rozmiarem ale skończenie estetyczny we wszystkich swoich liniach i załamaniach, w wykończeniu, całości sztuki i harmonii. Nie rzucał się w oczy jaskrawymi barwami i dziwaczными kształtami, nie był pomyślany dla efektu ale dla odpoczynku myśli i ciała, dyskretne, filigranowe i delikatne podsuwał marzenia; swoje piękne nadawał im kształty, odrywał od wszystkiego co chropowate, ostre, pospolite i krzyżące, co nie wypolerowane cywilizacją i estetycznymi dążnościami.

Hrabina Zeneida w tem otoczeniu czuła się najszczęśliwszą; wszystko, co miała najpiękniejszego, zgromadziła w tym pałacyku. Sprowadziła pamiętliki rodzinne, a miała ich sporo, gdyż jej rezydencja w kraju choć nie ze złota i marmuru, ale fossą i grubym murem ze strzelnicami otoczona, posiadała bogatą bibliotekę, dzieła sztuki w pięknych sprzętach, rzeźbach i obrazach.

Życie jej było bardzo urozmaicone i przyjemnościami wypełnione. Nie była już młodą i z prawdziwym bohaterstwem do tego się przyznawała; lubiła świat dla przyjemności, jakich jej dostarczał, mniej dbając o zadowolenie własnej próżności.

Była bardzo wybredna w dobieraniu sobie towarzysztwa; otaczała się szczupłem, ale wyborowem gronem, którego każdy członek przynosił właściwy sobie żywioł, doręczający promieni do świetności jej salonu. Nie lubiła tłumu, który oprócz bezmyślnego gwaru nie w sobie nie mieści.

„Nie chcę, żeby mój dom przypominał dworzec kolejowy,“ — mawiała nieraz. Więc też wstęp do jej salonu okupić trzeba było haraczem, jeżeli nie wybitnej inteligencji lub aureoli artyzmu, to zaletami towarzyskimi sprytu lub dowcipu, to wyróżniając go wysokim urodzeniem lub dystynkcyą. I lubiła mieć wkoło siebie wszystko co świetne i wabiące, co niezwykle i błyszczy, ale tylko połyskiem czarnego dyamentu, który nie olśniewa oczów profana lecz tylko gustowi bardzo wyrafinowanemu zadowolenie sprawić może.

Na wiosnę jeździła do Paryża i przepędzała tam czas zielonego karnawału; później udawała się w góry i w ich spokoju i balsamicznym powietrzu szukała nowych sił i zdrowia, by w następnym sezonie móżdż znowu mężnie i z werwą stawiać czoło niewywyczasom i umęczeniu życia światowego.

W kilka lat po owdowieniu doszła ją wiadomość, że kuzyn jej pan D., który, w braku dostatecznego majątku, szukał kariery na drodze dyplomatycznej, i bawił czasowo na półwyspie Bałkańskim, ożenił się tam z Bułgarką cudownej piękności, a średniego, mieszczańskiego pochodzenia. Wkrótce potem pan D. jako przedstawiciel rządowy wysłany został do Ameryki południowej.

Od tego czasu minęło lat kilka.

Pani Zeneida bawiła w Paryżu, gdy odebrała list od swego brata hrabiego Lubranieckiego, w którym jej donosił, że pan D. i jego żona zmarli w Ameryce na żółtą febrę, zostawiając dziewczynkę pięcioletnią, która przywiezioną będzie do kraju, a ponieważ po rodzicach nie było żadnego majątku, rodzina postanowiła zająć się jej przyszłością. Dziecko wieść miano przez Paryż, proszono zatem pani Zeneidę aby je w swoim domu przyjęła na kilka dni wypoczynku.

Wiadomość była niezwykajna, i nie taka banalna jak wszystkie inne, które się w listach wyczytuje.

Panią Zeneidę intrygowało to dziecko. Przyjeżdża z innego świata, pod niewiadomą opieką, gdyż list w tym względzie żadnych nie dawał objaśnień; jakoś jej życie inaczej się zaczyna niż in-

nych dzieci, narodowość trudna do określenia, nawet niewiadomo jakim językiem rozmówić się z nią będzie można.

Pani Zeneida wyjechała do Hawru na spotkanie egzotycznej dziewczynki. Z niecierpliwością śledziła ruch statku, na którym się mała znajdowała.

Płynął powoli, rósł i poważniał, zbliżając się do brzegu.

Liny na bulwarze zaczepiono, tłum z za oceanu zaludnił pokład i na ląd się wysypywał, lecz żadnego dziecka nie można było zauważyć. Nareszcie kapitan okrętu objaśnił panią Zeneidę, że dziewczynka, o którą się zapytywała jest zdrowa i znajduje się pod jego opieką. W kilka chwil później stało przed nią pięcioletnie dziecko, blade i mizerne, długą podróżą wymęczone, przytulone do swej nianki, murzynki, która równie wystraszoną wzrokiem jak i jej młoda pani wkoło siebie spoglądała.

— Chodź, nie bój się, moja mała — mówiła pani Zeneida — chodź, połóżysz się do wygodnego łóżeczka, pokażę ci dużo ślicznych rzeczy; już wody widzieć nie będziesz, nie bój się mnie, ja ci nie złego nie zrobię.

Dziewczynka zdawała się jej nie rozumieć.

Zaczęła z murzynką rozmawiać jakimś dziwnym żargonem, w którym było każdego języka po trochu ale specjalnie żadnego.

Murzynka, obok niej dziecko, ubrane dziwacznie i jaskrawo, rozmawiające językiem, do którego napewno niema podręczników, niezmiernie to bawiło panią Zeneidę; z prawdziwym też tryumfem powołała te okazy do Paryża. Bawili się tam niemi i jej goście, a dziewczynka wypocząwszy trochę po trudach podróży szybko odzyskiwała zdrowe rumieńce i urodę, która w wiosnianej epoce życia dziecka, zapowiadała lato pełne wdzięku i powabu, z całym zasobem tych świetnych odbłasków południowego słońca, które w pierwszych latach jej istnienia swój żar we krwi zaszczerpiło i egzotycznym ciemnym połyskiem południowej roślinności barwiło lice i włosy.

I bawiono się małą, polsko-bułgarską roślinką z amerykańskiego gruntu na paryżki przesadzoną; ubierano ją dziwacznie i jaskrawo, by zwracała na siebie oczy każdym szczegółem, by w barwach i blasku wyrównała kwiatom egzotycznym. Uczono tę żywą lalkę rozmaitych zabawnych i śmiesznych frazesów w językach, które w skład jej żargonu nie wchodziły; ona, nie rozumiejąc powtarzała wszystko z dziecinną pewnością siebie i bawiono się kosztem jej niewinności i dziwnym cudzoziemskim akcentem, który mimowoli przywołał śmiech na usta.

Pani Zeneida odkładała z dnia na dzień wyjazd małej Jadwini; wreszcie po paru tygodniach zawiadomiła swego brata, że radaby dziewczynkę na zawsze przy sobie zatrzymać i zająć się jej wychowaniem.

Przyzwyczaiła się do żywej lalki, która jej dom ożywiała.

Od tego czasu tryb życia Jadwini niezem się nie różnił od początkowych tygodni przebytych w Paryżu.

W miarę jak podrosła uroda jej rozwijała się coraz wspanialej, spuszczała po matce, rysy południowe, zachwycały delikatnością swych konturów i kontrastowały ze spokojnymi niebieskimi oczami północy, dowodem narodowości jej ojca, które marzyć się zdawały o ponurych, a pełnych poezji lasach świerkowych, jednostajnych łąkach zboża.

Rezultatem i korzyścią osiągniętą z salonowego życia przedwcześnie rozpoczętego, było przyswojenie sobie przez Jadwinę żargonu kilku europejskich języków, którym zastąpiła dawny swój amerykański, i bałwochwalecy prawie kult dla wszystkiego, co błyszczy i świetne, co wyobraźnię i oczy olśniewa, dla wszystkiego, co odziane w żywe barwy, co otoczone blaskiem potęgi złota i drogich kamieni, lub każdej innej świetności, byle tylko blasku było jaknajwięcej.

Z blaskiem i świetnemi barwy kojarzyły się wszystkie jej wspomnienia szczęścia. Majaczyło jej czasem w pamięci wspomnienie dzieciństwa spędzonego w Ameryce, pamiętała, że była tam szczęśliwą, a to szczęście objęte było w ramy z olśniewających promieni południowego słońca, jaskrawej roślinności, błyskotliwych ubiorów i zwyczajów a jasności cała powódź — i tam była szczęśliwa.

Później następowała szara i smutna plama w jej wspomnieniach, to podróż morską, która się zaznaczyła nudami i chorobą, dniami mglistymi i słotnemi, smutkiem i tęsknotą. Nie było wtedy szczęścia — nie było też blasku i światłości.

Odnalazła u hrabiny Zeneidy świetne barwy i blaski i znowu uczuła się szczęśliwą.

W dzieciństwie pojęcie jej o szczęściu kojarzyło się z wyobrażeniem o gorącym oślepiającym słońcu, o ptakach jak kwiaty, a kwiatach jak marzenie. Gdy wyrosła, dusza jej się rwała do świetności towarzyskiej, do tego blasku światowego, który dać może wysoka pozycja i fortuna. Błyszczcie! Błyszczcie! i jeszcze raz błyszczcie! To cel i szczęście! Bo pocóż żyć w nudnej szarej mgie średniego pospolitego życia? Lepiej gonieć słońca promienie, a choć ich w dłoń nie ujmiesz, gdyż utkane z jakichś atomów nieuchwytnych, ale choć na chwilę ozłocą ci dłonie i lica i błyszczcie! będziesz ich blaskiem.

Jadwinia widziała w pani Zeneidzie źródło swego błyszczenia w świecie i szczęście, to też przywiązała się do niej jakąś miłością bałwochwalczą, nie ciepłą i serdeczną ale połączoną z czcią i uwielbieniem, jaką tłumy kochają potężnych, w których ręku losy i szczęście.

Pani Zeneida lubiła ją jako wabika, który ściągają do jej salonu najwięcej wybrednych; lubiła ją tak samo jak kwiaty, posągi i obrazy, które zdobyły jej mieszkanie — przytem wcale się o nią nie troszczyła.

Jadwinia w świecie dużo bywała i prędko sformułowała sobie to pojęcie, że błyszczenie i bawienie się można tylko za pomocą dużej ilości pieniędzy, i obok pierwszego swego bożyszcza „Blasku“ postawiła drugie nieodłączne od pierwszego t. j. „złoto.“ Z żywą wiarą kłaniała się bóstwom swoim i obraża je sobie na hasła życia.

Mijały lata, panią Zeneidę nudzić zaczynała opieka nad panną dorosłą, zresztą czas już był wielki, żeby Jadwinia za męża wyszła. Pomimo czarującej urody konkurent żaden się nie zjawiał. Dla arystokratycznej młodzieży była za biedną, dla finansowej miała nazwisko, które zagranicą nie nie mówiło, któreby im nie otworzyło furtki do dystygowanego świata. Ludzie ze średniej klasy byli dla niej nicością, zerami, szaremi i pospolitemi, na których nawet uwagi zatrzymać nie warto.

Pani Zeneida zaczynała się już naprawdę kłopotać przyszłością Jadwini, kiedy przyszła ważniejsza troska, która o tamtej kazała zapomnieć.

Bawiła we Florency, dawała jak zwykle wysmienite obiady, które słyngły. Zgromadzała wkoło siebie kółko wybranych.

Jednego dnia wieczorem, gdy goście się już rozeszli, poszła jak zwykle do toaletowego pokoju ażeby się rozebrać i spać położyć. W pokoju nie było światła. Rozgniewana niedbalstwem panny służącej, niecierpliwie chwyciła zapalnik i sama świecę zapaliła. W tej chwili panna służąca w drzwiach się ukazała. Pani Zeneida obrzuciła ją wymówkami a trzymaną zapalnik ruchem mimowolnym rzuciła po za siebie. Zapalnik upadł na dywan... między krzesła...

W półgodziny później panna służąca świecę zgasiła, pani Zeneida poszła do sypialnego pokoju. Gdyby się była obejrzała, byłaby dostrzegła na dywanie punkcik jasny, mały, ale już większy od zapalnika, z której powstał. Panoszył się zdradliwie na dywanie, wgrzyzał się w jego wschodnie arabskie, a na tle ciemnym świecił złowrogo.

Pani Zeneida położyła się do łóżka i wkrótce zasnęła. Naraz zdawało jej się, że jakiś ciężar zaczyna tłoczyć jej głowę, i że twarde obręcze ściśkają jej skronie. Nawpół budzić się zaczynała, słyszała jakby szum i trzeszczenie, ale jakiś silny, ciężki odór przygniatał ją coraz więcej, i władzy do poruszenia się nie było, uleciała, albo też zabił ją ten ciężar wzmagający się bezprzestannie.

Potem przyszło jeszcze większe ciśnienie i nieświadomość.

* * *

Pani Zeneida oczy otworzyła i ze zdziwieniem powiedziała niemi w około. Otaczały ją obce sprzęty, nie była u siebie, Jadwinia kęcała obok jej

łóżka i silnie trzymając jej rękę płakała serdecznie. Podnieść się chciała ale jakaś niemoc jakby stufuntowym ciężarem do łóżka ją przycisnęła a ból gwałtowny głowę rozszarpał.

Jadwinia jej ruch odezwała.

— Ach! Nareszcie! Chwała Bogu! Myślałam, że już ciocia nigdy oczów nie otworzy! — zawołała z westchnieniem ulgi, ale równocześnie rumieniec zakłopotania oblał jej spłakane rysy. Zawstydzona się przed panią Zeneidą łez swoich serdecznych i uścisku.

— Co to wszystko znaczy?

— Panią hrabinę dym odurzył i przytomność odebrał, ale teraz już wszystko będzie dobrze, — rzekł doktor, który siedział obok łóżka.

— Jaki dym? Zkąd? Gdzie my jesteśmy? No, mówcież prędzej, nie patrzcie takimi wystraszoneymi oczami. Czyż to jaka mistyfikacja? Przecież ja się niedawno u siebie spać położyłam!

— Moja ciociu... nie wiedzieć zkąd z cioci tualetowego pokoju ogień wybuchł... ciocia spała obok, dym ciocię onieprzytomnił... jesteśmy w hotelu.

Pani Zeneida zrobiła ruch rozpaczliwy ale wnet nad sobą zapanowała.

— Co się spaliło? — rzekła krótko.

— Cała strona od ogrodu.

— A czy z tualetowego pokoju nie nie uratowano?

— Nie.

— Nie??!! Nawet nie wyratowano komody, gdzie była moja biżuteria, papiery i pieniądze?

— Nie.

Pani Zeneida twarz do ściany odwróciła. Wrażenie było zbyt silne aby nad niem odrazu zapanować, ale duma nigdy jej nie odstępowała i kazała okazać się pogardliwą i nieugiętą nawet wobec klęski. Przecież ją, hrabinę Zeneidę nie dosięgnąć nie może, a marny żywił tembardziej! Zebrała całą moc panowania nad sobą, żeby spokojnie wymówić słów kilka:

— Nie warto myśleć o tem co było a już nie jest. Głowa mnie boli, chciałabym wypocząć i być samą. Jak będę czego potrzebowała to zadzwonię.

Naprzęta rysy byje uczynić obojętnymi i bez ruchu. Zaledwie za doktorem i Jadwiną drzwi się zamknęły wnet napężenie rozchwiało się i potok łez serdecznych zrosił jej twarz i poduszki. I widziała jak gdzieś we mgle zniknął jej prześliczny pałacyk, którym się najwybredniejsi zachwycali! Zniknęły pamiątki i familijne, dziełszutki i rzadkości, sprzęty drogie i do wygod jej konieczne, a co najważniejsza — komoda z tualetowego pokoju. Były tam biżuterie, których wartość miliona dochodziła, rodzinne papiery i dość znaczna gotówka w listach zastawnych... Oprócz tego były jeszcze pieniądze z czynszów dzierżawnych, z jej dóbr w kraju, nadesłane przed paru dniami, a które pokryć miały wydatki przez całą zimę i wiosnę. Następne raty dopiero jej w lecie nadsyłało.

Jak żyć przaz te kilka miesięcy, jeżeli pieniędzy już niema?

Myśl ta szarpała całym jej umysłem, pędziła krew do głowy, ból jej tylko potęgując, przyspieszała bicie pulsów a przedrzeć się nie mogła do żadnego punktu wyjścia, do żadnego rozjaśnienia sytuacji.

Pani Zeneida czuła się coraz więcej obezwładnioną i zmęczoną i w końcu zmorzył ją sen twardy.

Po przebudzeniu czuła się silniejszą i wypoczętą. Sen uspokoił nerwy i rzucił garść myśli jasnych. Powiedziała sobie, że życie silnie ująć trzeba w obie ręce, nie rozpaczając, lecz działając szybko a logicznie. Jałowe i bezcelowe obżalowywanie straciło w niej naturze. Wiedziała, że następstwem żalości we łzach topionej są oczy czerwone i ból głowy, i opóźnienie czynu, który złemu mógłby zaradzić. Żyć do lata trzeba, i środków do życia na ten czas także dostarczyć sobie trzeba.

Pani Zeneida postanowiła zaciągnąć pożyczkę na hypotekę swoich dóbr, lub próbować jeszcze wycisnąć z nich cokolwiek dochodu.

Po sprzedaniu reszty ruchomości z pożaru uratowanych, pani Zeneida w towarzystwie Jadwini wyruszyła do kraju, dla załatwienia tych pieniężnych interesów. Warszawa była celem jej podróży.

Przez ciąg całej drogi była małowowiąca i zamysłona, cyfry i finansowe kombinacje majaczyły w jej umyśle.

Tymczasem Jadwinia przyglądała się z ciekawością krajowi, którego nie znała, a który był ojczyzną jej ojca.

Doznawała dziwnych wrażeń, patrząc na okolice, które późna jesień już była umalowała na jednostajną szarą barwę. Posępny smutek przyniósł jej duszę.

Oczcielka blasku, miała tu przed oczami tę szarą ponurą barwę, do której od dzieciństwa czuła taki wstręt wyrażny! Niebo i ziemia były szare, powietrze zdawało się wypełnione jakimiś szaremi atomami, które pochłaniały promienie słońca, wiatr pędził szare zeschłe liście i szare nędzne ubrania jakichś biednych ludzi, którzy się schylali nad rolą i wyglądali jakby ich przyniósł ciężar mozolnej pracy.

Pociąg omijał ludzkie siedziby, a biegł tylko ciągle wśród lasów i pól, ubranych w szarą suknię jesieni.

Jadwini przyszedł na myśl pałacyk we Florencji, piękny, wśród powodzi światła i barw południowej roślinności.

Mimowiednie, nie zdając sobie sprawy, gdzie leży źródło uczuć podobnych, pozazdrościła tamtej krainie wszystkich darów natury i słońca. Szkoda, że nie można wszystkich barw, światła i ciepła ująć w pełne dłonie i stamtąd ich tutaj przenieść!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kazimierz Gliński.

"PLON NIESIEM."

Komedia w 2 aktach.

(Dokończenie).

Zygmunt (*sam — za odchodzącą*). Ha! czemu koła wiozącego was tu do mnie parowozu w drzazgi się nie rozsypały!... (*mitując się*). Chrześcijańskie życzenie!... (*Po chwili*). Nie!... to przybycie Leonostwa muszę za opatrnościowe uważać. W ogniu hartuje się stal, nim węgiel błysnie blaskiem brylantowym musi przejść przez ciężką próbę szlifowania. Albo stracę Rozalkę, albo odzyskam ją stokroć piękniejszą i wzniolejszą. Dałem jej swobodę czynów — ma wolność wyboru między miłością a przyjaźnią tej — szalbierki.

(*Wchodzi Leon*).

Leon. Otom zasnął, aż mi doprawdy wstyd na oczy się wam pokazać... Dzień dobry, ci Zygmuncie!

Zygmunt. Dzień dobry, Leonie! Jesteś już po śniadaniu?

Leon. Czy taka gospodyni, jak pani Rozalja, zapomniaby o gościu? (*siada*). Miałem pyszną kawę z kożuszką grubości palca, chleb cudowny i masło, o jakim tylko na wsi mieć można wyobrażenie.

Zygmunt. Widziałeś się z żoną?

Leon. Al wyobraź sobie jakiego mi wyrządziła figla.

Zygmunt. Czy pierwszego?

Leon (*śmiejąc się*). Spytaj lepiej, czy ostatniego. Ale cóż robić!... Jak nie wiesz z jakiej chmury piorun wypadnie, tak też nie wiesz, jaka w danej chwili myśl do głowy kobiecej strzeli. Ja, naprzykład, gdybym chciał coś pewnego o żonie mojej powiedzieć — doprawdy, nie umiałbym. Z początku dziwiłem się, później martwiłem się, a teraz ani się dziwię ani martwię i wszystko za dobrą monetę biorę. W ten sposób ochraniam się od bankructwa.

Zygmunt. Lecz jeżeli przyjdzie czas kassowego obrachunku i ten ci pokaże, że zamiast rzetelnych pieniędzy, masz tylko świecące liczmany — bankructwo pewne!

Leon. Upadłości nie ogłoszę — a do kassy nie myślę zezierać. W ten sposób zapewniam sobie spokój, dobre trawienie i sen błogosławionych. Humor mi nie brak, na zdrowiu nie szwankuję — jem, piję...

Zygmunt. Jem — piję... No — i to już wszystko?

Leon. A cóż chcesz jeszcze?

Zygmunt. Dokądbyśmy zaszli, urządziwszy w ten sposób życie!

Leon. Wiem do czego zmierzasz, ale to wszystko — mrzonki!

Zygmunt. Inaczej mówiliśmy na ławach uniwersyteckich —

Leon. Pięcioletni smarkacz budują nawet z kart domy — ale wał się wszystki!

Zygmunt. W ten sposób wszystko się zawali —

Leon. Czemu nie używasz czasu dokonanego?

Zygmunt. Aż tak?

Leon. Nie inaczej —

Zygmunt. Dużo jest podobnych do ciebie?

Leon. Legion cały — zwiększający się codziennie uciekinierami z rozbitej na głowę armii.

Zygmunt. Zachwyca mnie twój spokój.

Leon. Jest on oznaką zupełnej dojrzałości.

Zygmunt. W fizjologii, zdaje się, zwą go tężcem śmierci.

Leon. A któż się od niej ochronił?

Zygmunt. Któż przeciw niej nie walczył?

Leon. Don Kichotów nie brak.

Zygmunt. Rojuje jednak od glist na ziemi —

Leon. Petroniusz takby się nie wyraził.

Zygmunt. Nie jestem magistrem elegancji.

Leon. Ty i pani Rozalja tylko nie opuszczacie rozproszonych już zastępów. Smutni obłąkańce przeżytych myśli, ostatni z mnichów opuszczonego klasztoru. Trzeba się przecie liczyć z przybierającym nowe formy światem. Ale tego kształtowania się nie rozumiecie: Ty tylko i pani Rozalja!...

Zygmunt. Tak! ja tylko i Rozalja — ja tylko i... (*wstaje*). Ja tylko!...

Leon. Zaczęliśmy o mojej żonie a Bóg wie gdzieś się oparli. Owóż — (*Zygmunt się przechadza*) wyrządziła mi następującego figla. Wyobraź sobie! Zbudziła się przed piątą rano, wstała tak cicho, że żaden nawet nie posłyszał szelestu ni szmeru, wysunęła się jak mysz, z pokoju i zachwycona wiejskim porankiem udała się do żenców w pole, gdzie, jak to mi przed chwilą opowiedziała, ujęła nawet snopów parę.

Zygmunt (*przechadzając się*). Wiem o tem.

Leon. Mówiła ci?

Zygmunt. Tak! — i — ma zamiar nawet dzisiaj wyjechać od nas.

Leon (*wstając*). Co prawda, tośmy już za długo przysiedli u was fałdów.

Zygmunt. Z wami wyjeżdża także żona moja.

Leon. Czy tak? nie nie wiedziałem o tem... Doskonale projekt!

Zygmunt. Zrodzony przed chwilą.

Leon. I któż był jego ojcem?

Zygmunt (*zatrzymując się*). Kto?... (*z ironią*). Nowe formy, które przybiera świat dzisiejszy —

Leon. Nie rozumiem.

Zygmunt. To znaczy, że nierozumiałeś wypowiedzianych przed chwilą słów własnych...

Leon. Poczekaj!... Mówiliśmy ooo...

Zygmunt. Pięcioletnich smarkaczach —

Leon. Domkach z kart —

Zygmunt. Don Kichotach —

Leon. Ty o glistach ziemnych a ja nowych formach świata i — i... coś także o uciekinierach wspomniałem —

Zygmunt (*szybko*). Dość!...

Leon (*zdziwiony*). Co? (*po chwili*). Cha-cha-cha-cha!... Teraz rozumiem co znaczyły niepokojne twoje ruchy i dziwny sposób prowadzenia ze mną rozmowy. Legion się powiększył o jednego dezertera — i dobrze, tak być nawet powinno. Wierzę mi kochany Zygmuncie, że tu trochę za przyciężka była atmosfera. Romans we dwoje przy księżycu nie może trwać długo, domki z kart muszą upaść. Pierwej czy później wiedziałem doskonale, właściwie żona moja wiedziała, bo ja nie lubię łamać głowy swojej nad niczem — że wasza Kopkowska idylla,

jak każda idylla, niema realnego gruntu pod sobą. Co się usuwa, usunąć się musi — a i ty kochany Zygmunt — zbliż się do nas, rzuć wysepkę swoją, niewytrzymaną nacisku uderzających w nią z niepowstrzymaną wytrwałością fal morskich, sprzedaj swoje Kopki Szwarcbergowi, a wzięwszy grosz dostatni...

Zygmunt. Jędz — pij!

Leon. I marz nawet, tylko nie krępuj swobody ruchów młodej żonie.

Zygmunt. Nie myślę o tem.

Leon. Bardzo dobrze robisz — Zapewnisz tem sobie spokój, jak ja z moją Karolinką. Niech robi, co chce, byłem ja miał głowę swobodną — a to przecie lepsze, od dąsań się jakichś, od niedopowiedań, z których miarkujesz tylko, żeś się stał przyczyną, choćby nawet wymarzonego nieszczęścia. Zrazu majaczyć ci się jeszcze będą jakieś cienie, do których przywiązywałeś wagę pewną — ale coraz mniej myśląc o nich, odzwyczajając się od nich z dniem każdym będziesz, zwycięży twój fizyologiczny ciężar i nie ci już nie zakłóci dobrego, wygodnego spokoju. Czy nie tak może?

Zygmunt. Zupelną masz słuszość!

Leon. Prawda?

Zygmunt. Niedająca się zaprzeczyć! boć przecie jest dobrze wiadomem, że nie podsypane ognisko przycisnąć musi, niepodlewana roślina uschnie, niekształcony wciąż umysł zgłupieć, a serce — ochroniane szczerze przed najlżejszym podmuchem uczuć szlachetnych — spodleć!

Leon. No — tak dalece znów —

Zygmunt. Do tego doprowadza nowoodlewana przez ciebie forma świata.

(Bierze czapkę i wychodzi — Leon stoi chwilę z wydetem trochę głupio ustami, patrząc za wychodzącym Zygmuntem).

Leon (po chwili). Coś, jak mi się zdaje, to niby to wszystko było prosto do mnie skierowane. (Robi parę kroków naprzód). Nie lubię podobnych gawęd — zawsze drażniaco oddziałują na mnie. A mówiłem Karolinie, żeby dała spokój z myślą buntowania Rozalji. Po co kłaść palce między drzwi, co nas — za obrębem nas samych — obchodzić powinno? Zygmunt przekonał się, że bańki mydlane pękają — ale... zawsze mnie pszyknął... Byliśmy dobrymi przyjaciółmi — teraz, niepotrzebnie odsunęliśmy się od siebie. Muszę Lince choć raz ostrzejszą uwagę zrobić, bo kiedyś mnie w jakąś kabałę wpłaczę. Ach! te kobiety, to monstra prawdziwe!

(Przy ostatnich słowach wchodzi Karolina).

Karolina. Co? co?

Leon (d. s.). Tam do diabła!.. (słodko). Dzień dobry ci moja Lineczko!...

Karolina. Cóż to powiedział przed chwilą?

Leon (słodziej, całując rękę żony). Dzień dobry ci moja złociutka!...

Karolina. Przecie już widzieliśmy się, panie Leonie!

Leon. Ach, prawda! ale jabym tobie sto razy na dzień, dzień dobry mówił.

Karolina. Z zasłyszaniem przed chwilę dodatkiem —

Leon (niby zdziwiony). Dodatkiem?...

Karolina. O monstrach —

Leon. Monstrach?...

Karolina. Dla czego ty głupiego udajesz?...

Leon. Ja udaję?

Karolina (obejmując jego głowę, z uśmiechem). Nie, nie, nie — ja żartowałam sobie. Ty doprawdy jesteś trochę głupi!...

Leon (d. s.). Zażegnałem burzę!... (całując rękę Karoliny). Pieszczoto moja — czy nie spotkałaś czasami Zygmunta?

Karolina. Byłam cały czas z Rozalką.

Leon. A ja z gospodarzem Kopek —

Karolina. I co?

Leon (całując ją). Ty coś już nawarzyłaś, koteczko moja!

Karolina. Skarzył się przed tobą?

Leon. Nie — parę tylko łatek mnie przypiął —

Karolina. To nic wielkiego.

Leon. Zapewna — ale po co było wtrącać się do ich domowego pożycia? a — prosiłem ciebie —

Karolina. Wiesz przecie dobrze, że ciebie nigdy nie słucham.

Leon. To prawda, śliczności mojej — lecz wiesz, że ja lubię żyć ze wszystkimi w zgodzie —

Karolina. Dyabłu ożóg, Bogu świeczka...

Leon. No — tak... A tymczasem, z powodu twojego krętu, wetu —

Karolina. Co?...

Leon. Ty zrobiłaś bardzo dobrze, kochanie moje, ale dłużej już nam niewypada nadużywać grzeczności Zygmunta i — trzeba jechać —

Karolina. Rozalka jedzie z nami.

Leon. Wiem o tem — niech się rozerwie! ty aniołeczku mój drogi, doskonale, wybornie zrobiłaś.

Karolina. Kiedy więc zrobiłam doskonale, wybornie, a zatem ci nie nie zostaje, jak mnie pocałować (pokazuje mu ręce) tu i tu — i spakowywać rzeczy do drogi.

Leon (całując ręce). Jestem na twoje rozkazy, kociątko ty najmilsze — ale widzisz...

Karolina. Nie widzę wcale, ażebyś spełnił mojego polecenia —

Leon. Spakować rzeczy... Idę... Daj buzi! (całuje). Ty — ty — ty...

(Wychodzi).

Karolina (sama). Doskonały mąż!...

(Wchodzi Rozalja).

Karolina (podchodzi do niej szybko). No cóż — widziałas się z panem Zygmuntem, nie starał się ciebie przekonywać, namawiać, postawić na swoim?

Rozalja (smutnie). Nie.

Karolina. Nie?

Rozalja (siada). Przecież dał mi zupelną swobodę czynów —

Karolina. Ach! zapomniałam o tem... Mimo to, kochana Rozalko, obojętność twojego męża dość dziwną jest dla mnie.

Rozalja. I dla mnie.

Karolina. Może nie wierzy w twój przyspieszony wyjazd?

Rozalja. Jest jego pewny —

Karolina. I wierz czułości mężczyzny!

Rozalja. Zapytywał mnie z zupelnym spokojem jakie wezmę kufry, dobierał sam klucze, przygotował pieniądze potrzebne na drogę i prosił, jeżeli mi czas pozwoli, ażeby pisywała do niego —

Karolina. Jeżeli czas pozwoli — to znaczące.

Rozalja. Tak — bardzo znaczące.

Karolina. Obiecał swój przyjazd?

Rozalja. Nie — chyba sprzedałby Kopki.

Karolina. Wspominałaś mu i o tem?

Rozalja (prawie szeptem). Wspominałam.

Karolina. A on?

Rozalja. Ja nie wiem, — może tem wszystkim co zaszło zbyt rozdrażnioną byłam, może mnie wytrąciła z równowagi niepewność mojego postępu, może źle patrzyłam, źle widziałam — ale mi czoło jego wydało się przemienione w myśl jakąś posępną; ja nie widziałam czoła, tylko tę myśl, myśl w kształtach widomych, czytelnych, na której się rysował... ból zawodu. Mówię ci szczerze, że gdyby wtedy przemówił — rozplakałabym się, gdyby zażądał — zostałabym — (drży lekko — po chwili jakby z wyrzutem). Ale nie przemówił nie, o nie nie prosił.

Karolina. Zaciętość mężka!...

Rozalja. Tu przecie mu o coś więcej iść powinno!

Karolina. O żonę —

Rozalja. Tak!

Karolina. Aha! niby to tak bardzo mężowie o żony swoje dbają... Może mu nawet jest na rękę twój wyjazd —

Rozalja (wstając szybko). Posądzasz go?

Karolina (obojętnie). Ja nie nie mówię — ale... oni wszyscy... (śmieje się).

Rozalja. I twój Leon?

Karolina. I mój Leon! No — nie bierz tego bardzo do serca. Nie prosi — więc zostajesz przy swoim, nie zatrzymuje — jedziesz!

Rozalja (dobitnie). Tak — jadę!...

Karolina. Wierz mi, że odżyjesz — poczujesz się odrodzoną — Tu nie do roboty niema, a dla nieureczywistnionych nigdy myśli poświęcać młodości nie warto!

Rozalja. Mówiłam mu i o tem.

Karolina. A on?

Rozalja. Zgodził się —

Karolina. Jakto?

Rozalja. Przyznał, że ośm lat wspólnych tu zajęć rzuciliśmy na pastwę niewyśnionym marzeniom; że to, co myśleliśmy, iż robi krok naprzód, cofa się wciąż z niepowstrzymaną logiką wypadków, żeśmy w chorobliwym śnie tylko widzieli budzące się życie tam — gdzie powolne zamieranie wciąż trwało. Te słowa były tak dziwne, tak niepojęte dla mnie, że wzięłabym je za gorzką ironię, gdyby przy wymawianiu ich nie towarzyszył zupelnny spokój, widniejący w całej postaci Zygmunta. Musiałam uwierzyć — a jeżeli tak jest — po co tracić czas, młodość... piękność — w tej, jak rzekłaś, pustyni...?

(Wchodzi Zygmunt i Leon nie widząc obecnych).

Leon. Więc się nie gniewasz na mnie Zygmuncie?

Zygmunt. Ależ wybij sobie z głowy myśl podobną...

Leon. Bo to widzisz, Karolinka zawsze swojego nosa wścił.

Karolina. Leonie!...

Leon (stropiony). Ach! to ty, moja duszko — to, ty, mój noseczku najpiękniejszy — (do Rozalji). Dzień dobry, pani! Jakże pani uważa projekt wyjazdu, Karolinki?

Rozalja. Przyjęłam.

Leon. I na długo pani wyjeżdża do Warszawy?

Zygmunt. Może na zawsze —

Leon. Jakto?

Zygmunt. Po co wracać do pustki, w której rzucony dźwięk każdy bez echa ginie?... po co się opłatywać w kruchą sieć niedorzecznych złudzeń, stawiać ołtarze posągom pięknym, zużywać technienie na rozgrzanie wieczyste zimnej piersi Galatei?... Złudzeniem było wszystko, dla którego nie warto poświęcić jednej godziny życia — złudzeniem nawet słuchu jest ta pieśń, którą słyszymy przed progiem naszego domu.

(Śpiewając — wchodzą żonę i żniwiarki z przodownicą na czele — wśród nich widać Hansa, który zawodzi basem, i dzieci jego dyszkantem śpiewające. W ojcich — ze zdziwieniem patrzy na niebywały dla siebie widok).

Pieśń żniwiarzy:

Plon niesiem plon

Ze wszystkich stron —

To naszej pani, naszemu panu

Krasny kwiat z łąki, złoty kłos z łąki —

Plon niesiem — plon —

Plon niesiem, plon — — —

Z rodzimych stron.

Otwórz nam wrota, włodarzu dobry,

Z zasiewu twego niesiem dar szcudry...

Pszeniczny plon!...

Wojciech. Hans — Hans — Hans!

Hans (zwracając się). A schurke?

(Wojciech roztwiera ramiona, w które Hans wpada. Przodownica podaje panu i pani wieniec ze zboża — Rozalja sennymi oczyma patrzy w koło).

Wojciech. Niech no ja się tobie przypatrzę Hansie.

Hans. Panie Adalbert — po co takie mówienie!

Wojciech. Jakże?

Hans. Ja przysięgłość zrobić, co był zawsze, jest i będę Jan — i to Jan Kopica!...

Zygmunt (do żonów). Dziękuję wam za zbiór — dziękuję za pamięć. Ośm lat pracowaliśmy razem i coraz więcej złotych kłosów rodziła niwa nasza — ale już w roku następnym...

Rozalja (szybko). Zygmuncie!...

Zygmunt. Pozwól... dokończyć —

Rozalja. Nie... nie... (przysłania się do piersi męża), Wybacz... Ja nie mogę, nie... mogę —

Karolina. Rozalkol...

Rozalja. Zostawiam tobie wino, czar, upojenie, wszystko, wszystko... i — — (patrzy z miłością na Zygmunta) wracam do wody krynicznej — — — (Zygmunt tuli ją w uniesieniu szczęścia).

Leon. A mówiłem ci, Karolinko...

Karolina (ostro). Pst!...

(Kurtyna zapada).

KONIEC.

SIOSTRY NAPOLEONA.

III.

Paulina Borghese, Księżna Guastalla.

(1780—1825).

(Dalszy ciąg).

Pod koniec 1808 roku, księżna Borghese przenosi się do Nizy, ze względu na zdrowie swe, bardzo delikatne i zachwiane. Etykieta, tak ulubiona i przestrzegana przez księżniczki w początku Cesarstwa, odrzucona tu została. Poprostu, pozostawiono ją tym razem w Paryżu. Zrana Paulina spożywała śniadanie sama; wieczorem cały dom obiadował z nią razem. Dwór jej podróży składały: panie de Chambaudouin i de Barra'l panna Millot, lektorka, panna Faivre i doktor Peyre, który, obok starań o zdrowie księżnej, miał zlecony sobie zarząd ogólny jej domu.

Ponieważ przechadzki, przejażdżki łodziami i powozem, kwiaty, ploteczki i wizyty nawet, składały się na tryb życia dość spokojny, który nudził księżną Borghese, sprowadziła przeto z Paryża swego „dyrektora muzyki“ Blangini'ego, a równocześnie rozkazała, aby jej wysyłano z tamąd codziennie osobny furgon, zawierający wszystko, co w zakresie: mody, zbytku i zabawy stolica wymyśliła nowego. Gdy jednak wycieczki księżnej z Blanginim dawały pole do licznych plotek i komentarzy, Napoleon, który utrzymywał specjalnego agenta, donoszącego mu o postępowaniu siostry, przysłał jej jeszcze księdza jałmużnika, obowiązane go odprawić co niedzielę mszę świętą w salonie księżnej. Miało to nadać jej właściwą powagę wśród ludu.

Pani Borghese nie opierała się temu wcale. Przeciwnie; ta pompa, to pośpieszne wznoszenie ruchomego ołtarza, który przystrajano materiami z jej sukien, bawiły ją bardzo. Nabożeństwa więc i kazania wysłuchiwała ze skromną, zachwycającą miną, poczem... wracała do swej muzyki i p. Blangini'ego.

Jak zawsze jednak, tak i tu, z trzech sióstr cesarza, ona jedna ma szlachetne popędy i odrobinę serca. Zabija ją: nadużycie zabaw i zbytku, samowola oraz brak wszelkiego kierunku moralnego; lecz niech się tylko znajdzie sposobność, a w tej istocie lekkiej, kapryśnej, bezmyślnej, odsłania się grunt szlachetny. Oto w Nizy, otoczonej cesarskim przepychem, przychodzi jej na myśl pojechać do Antibes, aby odwiedzić dom, w którym mieszkała kiedyś z matką, jako uboga, młoda dziewczyna.

I nie robi tego bynajmniej ukradkiem, incognito. Przeciwnie; komendant Antibes, zostaje zawiadomiony oficjalnie, iż jej Cesarska wysokość życzy sobie zwiedzić dom, w którym niegdyś mieszkała. Statek księżnej przystrąca się flagami i kwiatami, a cała Nizza wie o celu wycieczki. Komendant oraz ludność przyjmują księżną wspianym obiadem i balem; nazajutrz zaś zwiedza ona w licznej otoczeniu domek, opowiadając głośno o losach jego i skromnym swem położeniu ówczesnym.

Tego rodzaju szczerością kupowała serca ludzkie; nadzwyczajna, z każdym rokiem większa a olśniewająca jej piękność dokonywała reszty podboju. Byłaby też Paulina stała się ozdobą rodu Bonapartych i podporą domu monarszego, gdyby — powtarzamy to — nie nadzwyczajne zaniedbanie wy-

kształcenia serca jej i umysłu, któremu nie dano żadnych racjonalnych a zdrowych podstaw.

Po powrocie z Antibes, czekała jej wątpliwej wartości nagroda. Kuryer, nadbiegły z Paryża, oznajmiał przybycie księcia Kamila Borghese, który otrzymał właśnie pargaminowy, cesarski dyplom, na wielkorządcę zaalpejskiego kraju, z wyraźnym rozkazem, aby udając się natychmiast na miejsce urzędowania, wstąpił po drodze do Nizy i zabrał stamtąd małżonkę swą, księżną Palinę, do Turynu, jako przeznaczonej im, wspólnej rezydencji.

Wielką tę godność, umyślnie dla niego stworzoną, musiał nowy dygnitarz Cesarstwa okupić w sposób niezwykle. Napoleon wypłatał mu figla, jedynego w swoim rodzaju.

Przed wyjazdem bowiem do Turynu, nabył od niego bezcenną galerię rzeźb, która — nie była wcale na sprzedanie. Gawędząc pewnego ranka, przy wstawianiu, ze swoim szwagrem, Napoleon wy-rzekł nagle:

— Ale, ale, Kamilu, zapomniałem ci powiedzieć, że kupuję twoje posągi.

Książę ośmielił się nadmi nie, iż galeria ta, to spadek rodzinny, pamiątkowy, przez wieki zbierany, którego nie czuje się w prawie zbywać.

— Ja ci się nie pytałem, czy chcesz sprzedać rzeźby, — brzmiała odpowiedź Napoleona. — Powiedziałem tylko, że je kupuję. Bądź więc tak dobry i oznacz cenę.

— Najjaśniejszy panie, mój ojciec odrzucił dwadzieścia pięć milionów, jakie mu ofiarowała za nią kompania angielska. Sądził, że to za mało.

Cyfra dwudziestu pięciu milionów ostudziła nieco zapal Cesarza.

— Dwadzieścia pięć milionów? Ależ to szaleństwo! Dam ci ośmnaście.

Księżu pozostawało tylko przyjąć wolę wszechwładnego szwagra.

Co zaś do owych ośmnastu milionów — dodaje Turquan — dzięki przeróżnym wybiegom finansowym, nie doszły one nigdy w całości do rąk Kamila Borghese.

Za stratę tę, nie wynagradzało go wielkorządztwo Turynu. Zwodzony przez cesarza, oszukiwany jawnie przez żonę zaczynał kwaśnieć i tetryczeć. A było zaiste czego. Ponieważ bowiem tytuł jego książęcy rzymski, zamieniony został na takąż godność francuską; ponieważ nie przysługiwało mu prawo „cesarskiej wysokości“, przyznane jego żonie, Paulina przeto uparła się, iż w hierarchii urzędów jej się należy pierwszeństwo i zapowiedziała mężowi, aby tam, gdzie ludność przyjmować ich będzie mowami i owacyami, nie odważył się brać ich do siebie. Ona to, jako starsza tytułem, będzie mów tych powitalnych słuchać i na nie odpowiadać; on zaś, może stać z boku i podziwiać, jak zrzecznie żona jego obejmuje władzę nowego kraju.

Stracić na władzy tej milionową galerię, a następnie ustąpić zaszczytu jej, znienawidzonej i drwiącej z niego kobiecie, tego już było za wiele.

W parę dni później, księstwo przestępowali granicę swego terytorium. Wójt pierwszej wioski, przedstawiciele władzy i tłum mieszkańców oczekiwał na drodze, aby powitać księcia namiestnika i jego dostojną małżonkę. Mer wypowiedział swą mowę i, z głową odkrytą, czekał na miłościwą odpowiedź. Kamil Borghese otwierał właśnie do niej usta, gdy żona nie pozwoliła mu zabrać słowa. Oznajmiła bowiem, iż wszelkie przemowy oficjalne do niej należą, że stanowią jej obowiązek, że są zaszczytem, który jej przypada w udziale. Obowiązek zwykła spełniać, praw swych bronić potrafi.

Aliści wynikała sprzeczka. Książę prosił i perswadował; Paulina się upierała. Dygnitarze włoscy, zgorszeni tą sceną małżeńską, skłonili się wreszcie i odeszli; ludność zrobiła to samo. Wrażenia zaś, jakie na niej wjazd ów uczynił, nie już zatrzeć nie zdołało.

Wtedy to, pan de Clermont-Tonnerre, szambelan księżnej Pauliny, uprzedził ją grzecznie, że jeżeli tak dalej pójdzie, będzie zmuszony zawiadomić o podobnych zajściach cesarza. Bo jakąż może mieć powagę w kraju władza monarsza i główny jej przedstawiciel, jeżeli przy pierwszym występie zaraz, żona, wobec zebranej ludności i podwładnych, nie pozwala mu przyjąć do słowa?

Księżna Borghese, gdy jej rozsądnie wytłomaczono, ustąpiła natychmiast. Za przybyciem więc do

Coni, wszystko się w należytych odbyło porządku. Ich cesarskie wysokości zatrzymały się w prefekturze. Biskup miejscowy zakomunikował im z wieczora, kopię mowy, jaką miał ich powitać nazajutrz; szambelani zasiedli na całą noc dla zredagowania odpowiedzi; książę wyuczył jej się, jak grzeczne chłopię na pamięć i, „zdumiony“ uprzejmością pasterza, na mowę jego wyrecytował „zaimprovizowane“ podziękowanie, przyczem księżna Paulina, piękna jak marzenie, uśmiechała się czarownie. Zapalowi ludności nie było granie. Podziwiano ogólnie, zachwycającą urodę Jej cesarskiej wysokości i rzadki rozum oraz wytrawność dyplomatyczną księcia Borghese.

Biedny książę Borghese, o którego ograniczeniu wróble na dachach śpiewały! Biedni poddani, którym urok Napoleońskiej sławy tak bardzo przysła-
niał oczy.

D. 22 kwietnia, 1808 r. książę namiestnik, wraz z dostojną swą małżonką, odprawił wjazd uroczysty, do „naszego, dobrego miasta Turynu“, jak go w mowie swej określał. Straż honorowa towarzyszyła ich pojazdowi, grzmiące wiwaty i okrzyki rozbrzmiewały w powietrzu, rozbujałe dzwony wszystkich świątyń, przepełniały przestworze radosnym dźwiękiem, salwa, armatnia wstrząsała szybami. Serce Pauliny rosło, rosło, rosło... Po raz pierwszy oddawano jej iście monarsze honory, po raz pierwszy miała rządzić naprawdę.

Jak się z tych rządów wywiązała, zaraz zobaczymy.

Miasto Turyn wydało na przyjęcie swego namiestnika, wspaniałą zabawę. Cała widownia i scena miejscowego teatru, zamienione zostały, dzięki pomostom, w jedną olbrzymią salę, zalaną potokami światła, zatopioną w kwiatach i barwnych materjach. Wybór towarzystwa, z najpiękniejszymi kobietami na czele, czekał na Ich cesarskie wysokości. W głębi sali, na podwyższeniu, wznosił się fotel purpurowy, przeznaczony dla nieobecnego Napoleona, którego duch i obraz miały przewodniczyć zabawie. Po dwóch stronach owego tronu, dwa mniejsze fotele przygotowane były, dla Pauliny i jej męża.

To próżne krzesło wpośród, ułatwiało zadanie młodej kobiecie; uwalniało ją bowiem od przemawiania do męża, z którym, w danej chwili, na śmierć się gniewała.

Naśladując w przyjęciach oficjalnych cesarza, księstwo Borghese zeszli z tronu, i, przechodząc do grona oczekujących na zaszczyt ten kobiet, utworzyli *cercle*. W sali powstał szmer podziwu. Postawiona wobec kwiatu niewieściego Włoch, Paulina była od nich wszystkich piękniejszą. Ten zapal ogólny dla posagowej jej urody, upoił i wbił w dumę dawną Paolettę, a zarazem kusił ją zawsze by czaru wrodzonego próbować i — nadużywać.

Opatrzność dała jej kształty klasycznego posagu i serce do szlachetnych uniesień skłonne; brat — władzę i potęgę; świat — pochlebstwo; matka zaś, matka zapomniiała uzbroić ją, na wędrowną żywota, w niezawodną busolę zasad moralnych i honoru; wskutek więc braku tego, życie jej poszło na marne.

Wróćmy jednak do balu. Gdy w trakcie *cercle* orkiestra zagrała francuskiego kontredansa, Paulina, odwróciwszy głowę, zawołała głośno:

— Och, nie, nie! Proszę o muzykę włoską, o taniec narodowy włoski!

Umiała, jak widzimy, „starać się o serce swego ludu.“

Dygnitarze powtórzyli za nią:

— Prosimy o muzykę włoską, o taniec narodowy włoski!

A na sali zabrzmiały entuzjastyczne okrzyki.

— Niech żyje cesarz! *Vive le prince! Vive la princesse!*

Dwór w Turynie pozostał ściśle ten sam, jaki otaczał króla Sardynii. Paulina zaakceptowawszy go, zachowała jednak całą swą paryską świętą: szambelanów, dam honorowych, dam pałacowych, paziów, jałmużników, i t. d. Otoczenie paryskie pozostało przytem w znacznej części nad Sekwaną, tak, że przejeżdżając z Włoch do Francji i na odwrót, Paulina zastawała wszędzie pałac, gotów na jej przyjęcie i orszak dostojników, czekających na rozkazy.

Życie w Turynie było tak wesołe, iż pałac monarchów, nazywano, w popularnym języku „cesarską oberżą.“ Wszyscy królowie i książęta, jadący oddać pokłon Napoleonowi, wpraw wstępować tutaj, złożyć hołd pięknej jego siostrze.

Przesuwali się więc kolejno, przez dom Pauliny: książę Aldobrandini, brat księcia Borghese, król Józef, wracający z Neapolu, by objąć rządy Hiszpanii, król Murat, jadący zastąpić go w Neapolu, i inni.

Każdy gość stawał się powodem do wielkich przyjęć, balów, obiadów, wieczerzy, i t. d. Stół był pyszny, bo szef kuchni pobierał pensję generała (12,000 franków) zastawa wspaniała, usługa wzorowa. Po dwóch atletycznych, olbrzymich murzynów, przybranych w kapiącą od złota liberyę, w złote słońca na piersiach i strusie pióra na głowie, stało z założonemi na krzyż rękami, jak olbrzymie statuy z brązu, za krzesłami księstwa. Przepych uczt ogólnie wywoływał zdumienie.

Uczty jednak nie stanowią rządów. A że ani Kamil Borghese, ani Paulina, na zasadzie swej niedolności umysłowej, mieszać się do nich nie mogli, więc... więc, gdy zabawy wywoływały przesyt, nudzi się na śmierć oboje.

Wstręt, uczuwany przez Paulinę do męża, przenosił się teraz na dziewięć podległych mu departamentów. Słała więc list za listem, błagający cesarza, aby jej pozwolił opuścić Piemont. Na odmowną odpowiedź wpadała w pasję i w rozpacz.

Tarzała się po dywanach, wołając, że jest wolną obywatelką francuską, że więzić jej w Turynie, nikt nie ma prawa.

Wreszcie, uciekła się do zwykłego środka: oto zdenerwowała się tak, iż ataki spazmów jej dochodziły do konwulsji.

Przestraszeni lekarze nakazali natychmiastowy wyjazd do Aix. Cesarz, wobec grozy śmierci, nie mógł się temu sprzeciwić.

Przybywszy do Aix, Paulina — ozdrowiała natychmiast.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Zanim rozpoczniemy nowy sezon muzyczny, który się w Warszawie zapowiada bardzo pięknie, należy się słów parę ubiegłej kampanii letniej, niezbyt urozmaiconej i nie pozostawiającej po sobie silnych i niezapomnianych wrażeń.

Jeden tylko mamy do zapisania fakt wybitny, który się zdarzył podczas lata w Krakowie; chcemy mówić o wystawieniu po raz pierwszy opery Władysława Żeleńskiego: „Goplana“, dzieła, zasługującego na rzeczywiście i trwałą pamięć. O dziele tem pisaliśmy w swoim czasie w naszym „Ruchu“, kiedy go w wyjątkach sam autor zaprezentował w salonie redaktora „Echa“, p. A. Rajchmana. Już wtedy zaznaczyliśmy pobieżnie istotne piękności opery, prawdziwie natchnionej i płynącej ze źródła fantazji ludowej.

Dawno zapowiedziane przedstawienie „Goplany“ miało miejsce w Krakowie dnia 23 Lipca. Artyści opery lwowskiej po wykonaniu „Lohengrina“, „Hugonotów“, „Fausta“ i t. d. z całą sumiennością przystąpili do opracowania dzieła naszego dzielnego kompozytora i znakomicie się z trudnego zadania wywiązali.

Cały ten dramat streścić można w kilku słowach.

Kirkor, bogaty pan, zakochał się jednocześnie w dwóch siostrach; wybór trudny, bo obie są zarówno piękne, więc los ma rostrzygnąć tę sprawę: która prędzej nabiera dzban malin, ta zostanie jego żoną. Dobra i niewinna Alina pierwsza napełnia swoje naczynie, przez co staje się ofiarą zazdrośnej i mściwej siostry. Kochanek Goplany, przemieniony w wierzbę, był świadkiem zbrodni więc też ginie z rąk niegodziwej.

Samo rozpoczęcie sztuki jest śliczne. Przy blasku księżycy śpiew wodnych bogiń zachwyca i nastroja

widza do słuchania z natężoną uwagą scen dalszych. Ukazanie się Goplany, oczekującej przybycia Grabca należy do piękniejszych momentów opery. Cały pierwszy akt odznacza się ślicznie przeprowadzonymi melodjami, a kończy go tęskny śpiew Aliny. Odtworzyła tę uroczą postać p. Kruzelnicka, wkładając w rolę wiele szczerzego uczucia i pojęcia, otrzymała też w nagrodę huczne oklaski, a twórca dzieła, Żeleński, widział początek swego tryumfu w owacych, jakie go spotkały.

Również zajmującą jest scena przemiany Grabca w wierzbę, przy śpiewie niewidzialnych duchów i przegrzki orkiestrowej; jest to coś nowego, oryginalnego, zachwycającego. Ale jeszcze wyżej stoi scena między dwiema siostrami, zbierającymi maliny. Alina wesoła, niewinna, szczęśliwa, bo napełniła swój dzbanek, Ballardyna, złowroga na siostrę spoglądająca, knuje zemstę, której też natychmiast dokonawa a, dokonawszy, ucieka — tymczasem orkiestra ślicznym intermezzo dopełnia sceny.

Następnie przenosimy się do mieszkania sióstr. Przed chatą siedzi matka, oczekując powrotu córek; wraca sama zabójczyni, oznajmiając, że siostra uciekła z Grabcem: siostrabójczyni tedy zostaje żoną Kirkora.

Ale nie długo Kirkor udaje się na wyprawę wojenną, a żona zamysła o spełnieniu dalszych swych zbrodniczych zamiarów, do czego używa zakochanego w sobie Kostryna, namiestnika zamku. Nadarza się do tego sposobność podczas uczty, gdy Grabiec, znów przemieniony z wierzby w księcia, opowiada przy towarzyszeniu ślicznej melodji, iż był świadkiem spełnionej zbrodni. Wtenczas Kostryna wlewa truciznę do szklanki Grabca i wnosi jego zdrowie.

Grabiec spełnia toast i pada nieżywy. Przybywa też i Kirkor, dowiaduje się o wszystkim, Goplana zaś piorunem razi zbrodniczkę.

Na tej kanwie, osnutej z arcydzieła Słowackiego, wymalował kompozytor treść utworu muzycznego, do którego libretto starannie opracował dr. Ludomir German.

Zygmunt Noskowski, będąc obecnym na pierwszym przedstawieniu Goplany, wydał jak najpochlebniejszy sąd o tem znakomitem dziele. Akt drugi szczególnie zaleca się wybornem oddaniem sprzecznych uczuć dwóch sióstr, liryzmu z dramatycznością, a małe usterki np. zbyt długa ostatnia scena nikną przy całości utworu.

Instrumentacja „Goplany“ świetnie jest prowadzoną, tak co do szczegółowych ustępów, jako też zbiorowych numerów.

Przyjęcie, jakiego doznała „Goplana“ od wyborowej publiczności zapewne zachęci Żeleńskiego do obdarzania świata muzycznego nowymi utworami, czego wszyscy z upragnieniem oczekiwali będą. Wykonanie również udatnem nazwać można. Pannie Dąbrowska i Kruzelnicka sumiennie oddały postacie dwóch sióstr rywalek, pani zaś Camilowa — rolę „Goplany“, rolę matki dzielnie wykonała utalentowana artystka p. Kasprończowa.

Pan Alma dobrze zrozumiał rolę Grabca, p. Górski, wywiązał się jak najlepiej z niewielkiej, ale dość trudnej roli Kostryny.

Wszystko to pod umiejętnym kierunkiem p. Henryka Jareckiego sprawiło to, że każdy ze widzów opuszczał salę teatralną pełen zadowolenia z doznanych wrażeń.

Być może, iż dzieło to usłyszymy w Warszawie, wtedy szerzej i dokładniej rozbierzemy operę, usłyszawszy ją na wielkiej scenie.

Znakomity kompozytor, Zygmunt Noskowski, ukończył operę, p. t. „Livia Quintilia“ do słów Rzętkowskiego. Ci, co mieli sposobność słyszeć to dzieło, wyrażają się o niem z najwyższym zapałem.

Operę wystawi najpierw teatr lwowski, poczem „Livia Quintilia“ ujrzeć ma światło kinkietów w Warszawie.

Ferye operowe w Warszawie, trwające do tej pory, sprawiają, że na widnokręgu muzycznym zapanała u nas niezmącona cisza. Jedyne urozmaicenie stanowiły koncerty w Dolinie Szwajcarskiej i w Bagateli; koncertom tym wszakże bardzo często niepogoda dawała się we znaki, zwłaszcza w ciągu ostatnich miesięcy. Należy się przecież rzeczywiście pochwała tym zagranicznym orkiestrom za szereg wieczorów bardzo pięknych zarówno pod względem układu jak i wykonania.

Orkiestra wiedeńska w Dolinie Szwajcarskiej pod dyrekcją p. Ertla uprawiała przeważnie repertuar lżejszy; p. Meyder zaś w Bagateli urządzał nader często koncerty symfoniczne, pełne artystycznej wartości.

Z zagranicy nadechodzą wiadomości o powodzeniu, jakie we Florencji zdobyła sobie nowa opera Mascagni'ego: „Zanetto.“ Sam kompozytor dyrygował operą, spóźniwszy się o trzy kwadranse. Publiczność, zapełniająca salę, zaczęła już głośno okazywać swoje niezadowolenie; w chwili, kiedy Mascagni ukazał się przed pulpitem huragan oklasków połączył się z przeraźliwym gwizdaniem. Ostatecznie jednak dzieło się podobało, i Mascagni wyszedł z tarapatu zwycięsko. Libretto do opery zaczerpnięte jest ze znanego utworu Coppée'ego: „Przechodzień.“

Następca Ambrożego Thomasa na stanowisku dyrektora konserwatorium w Paryżu został Teodor Dubois. Proponowano tę godność Massenetowi, ale ten ofiarowanej posady nie przyjął. Wybór Teodora Dubois powitano w sferach muzycznych stolicy Francji z uznaniem.

Wkrótce w Paryżu, z powodu otwartej tam wystawy muzycznej, ma się odbyć międzynarodowy zjazd artystów — muzyków i kompozytorów.

Adam Dobrowolski.

WSPOMNIENIA Z LATA. SOBOTY.

(Dokończenie).

Pan Kulerski właściciel „Polskiego domu“ mówił mi, iż dla ludzi talentu, i pracy umysłowej, gotów jest w pierwszym sezonie i w trzecim uczynić wszelkie możliwe ustępstwa w swoim Pensjonacie. A więc warto skorzystać z dobrej woli p. Kulerskiego, objawiającej się zawsze, gdzie idzie o myśl zając szlachetną.

Warto prawdziwie odwiedzić Soboty bo i tanio i blisko i dobrze w nich, pod każdym względem. *)

Spacerów, wycieczek i ładem i wodą mnóstwo, nie licząc już Gdańska, do którego 20 pociągów dziennie odchodzi, droga trwa 30 minut, a bilet III kl. kosztuje 80 f. w obie strony.

Do Oliwy jest tak blisko, jak z Leszna w Aleje, Neufahrwasser tak samo blisko. Z dalszych wycieczek do Pucka (Putzig) stolicy Kaszubów. Miasteczko handlowe port dla statków żaglowych ma 2,000 mieszkańców; lud, który sercem wita i żegna pobratymczych przybyszów.

Celem przyjemnych wycieczek jest jeszcze Hela, półwysep z portem i niedawno urządzonymi morskimi kąpielami, mającymi przyszłość przed sobą ze względu na położenie: z jednej strony morze z drugiej las. Zamieszkujący tu rybacy, są także Kaszubi. Z bliższych cokolwiek Heubuda, Słomiana Buda, przypominająca nieco naszą Saską Kępę, jaką będzie w przyszłości po odpowiednim urządzeniu; ubawić się tu można znakomicie, choćby patrząc na sposób pływania na stawie wśród lasu, na łodziach jak na karuzeli w formie krzesła, konika, na podstawie kształcie łodzi. Tańczą też tu w sali, piją na powietrzu kawę, tak jak na Kępie. Odwiedzane również chętnie bywają miejscowości: góra Adlershorst (60 m.), Königshöhe, Elisenhöhe, Brauerhöhe, Thalmühle i wiele innych, a wszystkie dla ślicznego widoku.

Przyznać trzeba, iż i Dyrekcja kąpielowa dokłada wszelkich starań w celu urozmaicenia pobytu gościom w Sobotach bawiącym.

*) Czytelnia obfituje w pisma niemieckie, francuskie, angielskie, ale i polskich dzienników nie brak; są one w najgorszym stanie, wiele podartych, co świadczy o pożytności.

Dobrze obmyślony i starannie ułożony program rozrywek drukują na każdy sezon oddzielnie; wypielniają go na przemian: wycieczki zbiorowe z muzyką na pełne morze, do lasu, Oliwy i t. p. korso kwiatowe na łądziach, tak zwane święta kąpielowe. W czasie podobnej uroczystości, 20 sierpnia odbytej, z wendy II-o piętra z Miramare, podziwialiśmy wspinałe fajerwerki; istotnie śliczny był widok, gdy wśród ciemnej nocy spadały do morza z wysokości stropu ogniste, różnobarwne kule, a na zakończenie zajaśniał okręt z lampek elektrycznych. Co Sobota w Kurhausie, odbywają się reuniony tańczące. Orkiestra, grająca codziennie w Kurhausie od 6—10, a w niedzielę i czwartki do 11-ej z rana w te dwa dni ściągają wiele publiczności; bywa zwykle gwarno i strojno i pełno tak przy stolikach na powietrzu, jak w oszklonych galeriach z widokiem na morze i na pomoście; dużo młodych, miłych twarzących o spokojnym — może za spokojnym wyrazie twarzy; kolor biały cery i — w sukniach przeważa. Mężczyźni tamtejsi odznaczają się postawą silną, tęgą, barczystą rumianą pełną twarzą, pełną swobodą, a nawet zaniedbanie w ruchach, układzie, całem znalezieniu się. Dzieci śliczne białe, o różowej buzi, jasnej łoczkowatej główce, pysznie zaokrąglonych kształtach, istne aniołki Rafaelowskie, o dużych niebieskich i dziwnie mądrych oczach.

O matkach tych cherubinków mogę powiedzieć, że są bardzo pracowite, siedząc przy muzyce, czy też w parku, zawsze coś wyszywają, haftują, pełno tych kobiecych robótek na każdym kroku.

Mężczyźni, czy to przy stole, czy na spacerze wszędzie pierwszeństwo dla siebie zachowują. Poważna osoba w naszej eleganckiej Miramare siedziała u stołu na pierwszym miejscu, gdy mąż przyjechał ustąpiła mu, a sama siadła dalej. Na spacerze w dzień gorący widziano w lesie pewnego pana którego latnie palto niosła żona. Są to „Messieurs sans gêne,” nazwać by ich można za to lekceważenie form towarzyskich. W Sobotach spotyka się dużo cudzoziemców z różnych stron przybyłych, polaków jest tu niemało.

Teatr w Sobotach mieści się w sali Hotelu Wiktoria, rażącej brudnym wyglądem i niestetycznym w ogóle urządzeniem, psującym nawet dobrą grę artystów. Odbywają się w niej amatorskie przedstawienia. Uczęszczanie do Teatru utrudnia niedostatek dorożek, powozy, zaś kosztują względnie drożej jak bilet do Teatru. Brak dobrego oświetlenia ulic i uliczek utrudnia bardzo przejście.

Kąpiele, ten cel główny dla tu przybywających, znakomite i dobrze urządzone, a przy tem tanie bardzo: w abonamencie 25 fen. kąpiel.

Pobyt w Sobotach tak znakomicie oddział na zdrowie wielu osób, iż zapomniawszy o osłabieniu z jakim tu przybyli, nie poprzestawali na bliższych wycieczkach, lecz urządzali dalze do Frauenburga, do grobu Kopernika, który tu mieszkał od 1510 r. i umarł jako kanonik w 1543 r.; do Królewca miejsca urodzenia filozofa Kanta 1793 r. Herdera.

Kto miał dość czasu by wracać na Mławę (bilet z Sobót do Warsz. III kl. 11 m. 40 f.) mógł zwiedzić jeszcze Malborg (Marienburg). Przebywszy za (Dirschau) Tczewem kratowany most na Wiśle, 2,668 st. długi, kolej pod Marienburgiem przechodzi przez Nogat po moście, na wrotach, którego stoją posągi Hermana v. Salza i Ks. Alberta Pruskiego. Marienburg jest miastem bardzo starożytnym. Ratusz sięga XIV wieku, w stylu gotyckim, bramy miejskie są z tegoż wieku. Zamek zaś niegdyś Krzyżacki to najpiękniejszy pomnik budownictwa niemieckiego z wieków średnich. Najwspanialsza jego część, rezydencja wielkiego mistrza, jest obecnie odnowioną. Najciekawszą jest sala wielkiego mistrza; w jednej ze ścian tej sali

widać kamień z napisem pod nim, iż wyrzucony został z dzieła w r. 1410, by obalonym filarem pogrzebać w gruzach krzyżaków zebranych na naradę u Wielkiego Mistrza.

Stanisława Ła-ska.

Z bieżącej chwili.

— Pisma rosyjskie donoszą, że ministerium komunikacji ma zamiar wprowadzić na kolejach żelaznych marki w zamian dotychczasowych biletów. Sposób ten praktykowany jest już na kolejach amerykańskich z wielką dla podróżującej publiczności wygodą, oszczędza jej bowiem konieczności tłoczenia się do kasy i wyczekiwania w ścisiku swojej kolei. W myśl projektu, na drukowanych w tym celu specjalnie blankietach podróżny wpisywać będzie we właściwym miejscu nazwę stacji, do której jedzie, a resztę blankietu wypełni markami, naklejonemi w takiej wysokości, wiele będzie wynosić należytość za przejechaną przestrzeń. Marki w cenie od 10 kop. do 10 rs. sprzedawane będą w mieście, tak jak to dziś ma miejsce z markami pocztowymi. Dla kontroli jedną połowę blankietu odbierać będzie konduktor.

— Zmarły w Paryżu ś. p. Zygmunt Kaczkowski, zapisał, jak już na tem miejscu wzmiankowaliśmy całą swój, około pięciu milionów franków wynoszący majątek żonie swej pochodzenia francuskiego. Otóż obecnie, jak donoszą pisma galicyjskie, trzy siostry zmarłego występują do władz sądowych o unieważnienie zapisu.

— W Anglii powstał nowy rodzaj przemysłu, który niejednemu człowiekowi zapewnia utrzymanie, a mianowicie zbieranie porzuconych na ulicy niedopałków cygar. Po raz pierwszy ze zdumieniem dowiadujemy się, jaką wartość przedstawiają owe brudne niedopałki porzucane przez przechodniów na bruk uliczny, wybierane następnie przez biednych ludzi i sprzedawane za umiarkowaną cenę „wielkim przedsiębiorcom.” Sir Michael Hich-Beach daje nam w angielskim sprawozdaniu budżetowym z r. 1895/6 urzędowe dane w tym kierunku, według których suma ta tylko z Wielkiej Brytanii i Irlandyi wynosi rocznie 26 milionów franków. Jeżeli zważymy, że Anglicy chętniej

i częściej palą fajkę, to będziemy mogli mieć pojęcie, jak olbrzymie sumy niedopałki te przyniesić mogą w innych krajach.

— Pomiedzy wielu praktyce lekarskiej w Ameryce oddających się kobietami, jedna tylko poświęca się homeopatyi. Jest nią pani Mary Jane Hall-Williams. Od najmłodszych lat okazywała wielkie zamiłowanie i zdolności do poważnych studiów; w trzecim już roku życia wstąpiła do szkoły w Liverpool. Straciwszy wczesnie rodziców, a nie mając środków do dalszego kształcenia się, została dozorecznią chorych i na tem stanowisku zebrała sobie tyle pieniędzy, że mogła w dalszym ciągu poświęcić się studiom medycznym. Z początku oddała się aleopatyi, przerzuciła się jednak wkrótce do homeopatyi. Cieszy się bardzo rozległą praktyką i zawód swój wykonywa z wielkim powodzeniem. Pani doktor Williams znana jest również jako wielka przyjaciółka zwierząt i nieprzejednana przeciwniczka wiwisekcji.

Komitet Zarządzający Kasą Pomocy dla osób pracujących na polu naukowem

imienia J. Mianowskiego

podaje do wiadomości, że z funduszu imienia Józefy Sierakowskiej, znajdującego się w rozporządzeniu Komitetu, będą udzielone Zapomogi bezzwrotne, dla osób pracujących na polu naukowem, stosownie do woli ofiarodawczyni i jej spadkobierców.

Pierwszeństwo do otrzymania zapomogi będą mieli ci z kandydatów, którzy pochodzą z rodzin podupadłych lub zubożałych obywateli gubernii Płockiej, wyznania rzymsko-katolickiego. Zapomogi imienia Józefy Sierakowskiej mogą być przyznane bądź dla ułatwienia pracy na polu naukowem, bądź też na wydanie prac już przygotowanych do druku.

za Prezesa Komitetu Prof. D. Baranowski.
Członek Komitetu Sekretarz St. Libicki.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza” dołącza się: ark. 1-szy powieści p. t. **Dora**, przez Henryka Gréville. Przekład z francuskiego.

OD WYDAWCY.

„Bluszcza” w kwartale bieżącym wychodzić będzie pod dotychczasowymi warunkami. Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

TREŚĆ: Dwie chwile, przez Selima. — Pogawędka przez ?? — Lubrańce, powieść, przez Znieza. — Kazimierz Gliński. Plon niesiem. Komedia w 2 aktach (dokończenie). — Siostry Napoleona, przez Anatola Krzyżanowskiego (dalszy ciąg). — Ruch muzyczny, przez Adama Dobrowolskiego. — Wspomnienia z lata. Soboty (dokończenie). — **Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: **Dora**, powieść, przez Henryka Gréville. Przekład z francuskiego, ark. 1-szy. — Przegląd mód. 33 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja stołu.